

Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Mimo postępującej digitalizacji zasobów naukowych, monografie naukowe nadal są w obiegu i te, które mają wysoką wartość merytoryczną, nie powinny być ignorowane. Otóż takie właśnie tu przedstawiam. W syntetycznym sygnalizowaniu jakości zarezerwowałem sześć gwiazdek dla publikacji wybitnych – i przynajmniej pierwszej z omawianych publikacji należy się taka bezdyskusyjnie. Ale i ta druga nie jest wiele gorsza. Warto je przeczytać, żeby po nauce o informacji poruszać się jeszcze kompetentniej i tak sobie myślę, że wspomagające informatologów biblioteki powinny je mieć. Lecz od mojego myślenia do rzeczywistości jeszcze daleko.

Nauka o informacji: jaka jest [***]¹**

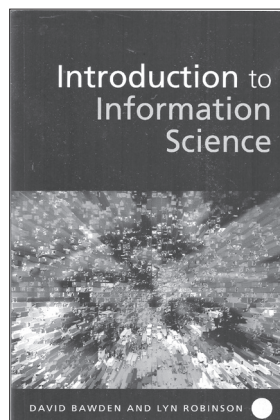
David Bawden, Lyn Robinson (2012): *Introduction to information science*. London: Facet Publishing, ss. 351. ISBN 978-1-85604-810-1

Prof. Bawden z londyńskiego City University, to szeroko znany specjalista informacyjno-bibliologiczny, zaś dr Robinson kieruje tamże biblioteką (oczywiście nazwa biblioteki jest niebiblioteczną). Wspólnie napisali monografię, jakiej od dawna nigdzie nie było, w sposób lapidarny acz kompetentny odnosząc się do (niemal?) wszystkiego, co dzisiaj w nauce o informacji najważniejsze.

Poczynając od prób jej zdefiniowania. Napisano więc, że to wielodyscyplinarny obszar badań, połączony ideą generowania i rejestrowania informacji, tworzącej łańcuch komunikacyjny. Istotę stanowi całościowe ujęcie tego łańcucha, od wykreowania, przez transmisję, pozyskiwanie, gromadzenie, przechowywanie i rozpowszechnianie informacji. Jest też wskazanie na wieloobszarowy i metadyscyplinarny charakter, na tyle rozległy, że uzasadnia liczbę mnogą w nazwie: nauki (zamiast nauka) o informacji. A ponieważ wiąże się z praktyką społeczną, jest lokowana w dziedzinie nauk społecznych.

Autorzy odwołują się też (oszczędnie) do przeszłości, sugerując, że istnieje subdyscyplina „Historia informacji”, lecz nie są jej entuzjastami. No bo w takim razie należałoby szukać początków wymiany informacji: oczywiście w komunikacji oralnej, ale nie ma utrwalonych (z prehistorii) śladów, a poza dokumentacją nauk uprawiać trudno. Natomiast z niedawnej przeszłości przypominają, że nazwy „Information Science” użył po raz pierwszy, w połowie lat 50. ubiegłego wieku, Jason Farradane z Londynu. Z tym, że naprawdę nazywał się Lewkowicz i był synem polskich emigrantów.

Sporo miejsca w książce zajmują odniesienia do filozofii i jej związków z informacją, z charakterystyką rozmaitych ujęć, zwłaszcza realistycznego, konstruktywistycznego oraz poststrukturalistycznego. Sygnalizuje się też różne paradygmaty, w tym głównie: systemowy – zakładający odrębność systemu informacyjnego od innych systemów, kognitywny – eksponujący odbiór informacji i jego



¹ Liczba gwiazdek (od 1 do 6) oznacza ogólną ocenę książki przyznaną jej przez Recenzenta [red.].

okoliczności, oraz socjalno-poznawczy (mowa o transmisji informacji w kontekście środowiskowych uwikłań odbiorców).

Lista przywołanych filozofów jest długa, ale szczególnie i wielokrotnie cytuje się Karla Poppera, z jego koncepcją sukcesywnego rozwoju wiedzy obiektywnej. Został też wspomniany filozofujący, wybitny bibliolog Jesse Shera, który wiedzę o informacji kojarzył z epistemologią społeczną. Natomiast jako kreatora rzeczywistej filozofii informacji wskazuje się Luciano Floridiego (Włocha, ale z Oxfordu).

Jeszcze obszerniejszy jest rozdział, poświęcony definicjom informacji, których jest mnóstwo i oczywiście wszystkich nie wyliczę. Obok utożsamień i rozróżnień (dokument – wiedza – proces), oraz ujęcia zmatematyzowanego (Shannon – Weaver – Hartley), przykuły moją uwagę zwłaszcza dwa sposoby pojmowania. Mianowicie paninformacyjny (John Wheeler), traktujący informację jako rodzaj pramaterii, zatem informacją ma być wszystko – i ten pogląd jest utrapieniem refleksji na temat komunikowania. Oraz subiektywistyczny: informacja to ramowa treść do indywidualnego przejścia, która zatem dla każdego może mieć znaczenie (nieco) odmienne.

Na to zaś nakłada się jeszcze nieklarowność pojęcia „dokumentu”. Czy mianowicie dwie identyczne książki to jeden dokument, czy dwa? Oraz w konsekwencji: czy kolekcja jest zbiorem **idei** w dokumentach, czy też – **obiektów**, inspirujących idee? Odpowiedzi jednoznacznych nie ma.

Katalogowanie zasobów, jako fizyczny opis dokumentów, autorzy odróżniają od szerszego (podobno) pojęcia deskrypcji. Może mają rację, ale nie jest to rozróżnienie powszechne.

Natomiast charakteryzując różne sposoby indeksowania, z rezerwą traktują swobodne tagowanie, określając jego użyteczność jako niejasną. Również automatyczne (formalne) indeksowanie oceniają niżej od realizowanego przez katalogerów, które jest intelektualne i opiera się na symbolach. Ale nawet jeśli ten pogląd jest słuszny, to indeksacji automatycznej powstrzymać nie można, bo jest użyteczna, tania i nie ma granic stosowalności.

Z kolei przy charakterystyce komunikacyjnej digitalności – stosowną architekturę opracował John von Neuman jeszcze w 1945 r. – za fundamentalny przełom autorzy uznają instalację Sieci. Kolejne doniosłe innowacje to chmura oraz postępująca miniaturyzacja urządzeń, z której nie wiadomo co jeszcze wyniknie. A wszystko znalazło (przynajmniej częściowe) odbicie w praktyce bibliotecznej, która w większości staje się piśmienniczo-digitalna, czyli hybrydalna i do kolekcji nośników przemieszczalnych dodaje elektroniczne repozytoria.

Szczególnie gorliwie chcę zarekomendować autorskie opinie na temat infometrii, bibliometrii i naukometrii oraz rozplenionej praktyki punktowania nauki. Nie negując faktu, że tylko część publikacji naukowych ma wartość i jest przez innych wykorzystywana, autorzy uważają „pomiar” dorobku uczonych w tym trybie za nieporozumienie. Co dobrze byłoby zasignalizować pomysłodawcom (tym z resortu i z Copernicusa), obowiązujących u nas, reguł naukowych ocen.

A swoją drogą, te rzekome „nowinki” naukometryczne są już prawie stuletnie. Samuel Bradford (bibliotekarz Muzeum Nauki w Londynie) – swoje prawo rozproszenia piśmiennictwa sformułował w 1934 r., zaś Alfred Lotka (matematyk: nie miał z informacją nic wspólnego) ogłosił swoje „prawo” w 1926 r. Poza tym, według autorów, to nigdy nie były, ani nie są, żadne prawa w sensie naukowym, a najwyżej: metaforyczne spostrzeżenia.

W książce wyrażono pogląd, że najlepiej w informatologii opisany jest obszar zachowań informacyjnych. Akurat nie mam takiego wrażenia. Albo inaczej: widzę sporo badań i sondaży, ale bezużytecznych, bo sposób realizacji woła o pomstę do nieba.

To jest temat, najwyraźniej preferowany przez dr Robinson, która wprawdzie sygnalizuje, że liczne badania nie są reprezentatywne, ale jej własne opisy i propozycje doboru prób do badań są nie do przyjęcia. W ogóle całość uwag o badaniach to najslabszy segment książki. Wszystko się tu miesza: metody, techniki, sposoby postępowania. Eksperyment sygnalizuje się tylko w wersji laboratoryjnej (dlaczego?), a w obserwacji doradza się rezygnację z urządzeń rejestrujących (zatem – jak?). Ciekawe natomiast, że w rejestrze technik badawczych całkowicie pominięto zmatematyzowaną analizę treści. W nauce o informacji?!

Prawdą jest natomiast sygnalizowany, szokujący rozbrat między badaczami oraz praktykami, co przekreśla sens i pożytek z badań. No i trudno zbagatelizować wątpliwość, czy istnieje coś takiego, jak potrzeba informacyjna – będąca wszak najczęściej przedmiotem dociekań empirycznych. Jedni twierdzą, że jest to luka pomiędzy tym, co się wie i co chce się wiedzieć. Ale inni są zdania, że nic takiego nie istnieje... Moim zdaniem – nie mają racji. Wprawdzie w psychologii funkcjonuje kilkadziesiąt definicji potrzeby, ale lapidarna formuła, że to jest „odczucie braku czegoś”, przystaje do wzmiankowanej w książce „luki”.

Zmiany technologiczne w komunikacji są radykalne – podobieństwo do sytuacji sprzed 30 lat jest bliskie zeru – a następnych tylko patrzeć. Jest wiele nowych form komunikowania się, jakich nigdy przedtem nie było, a transmitowane różnymi kanałami treści komasują się w publicznej świadomości, jednak wobec mnogości i różnorodności, trudno uniknąć trywializacji. Którą, *molens volens*, pogłębiają jeszcze automatyczne wyszukiwarki, bo to nie są narzędzia intelektualne.

Postępująca digitalizacja czasopism powoli rozmontowuje ich formułę: w Sieci, online, poszukuje się raczej pojedynczych tekstów (naukowych). Natomiast cyfryzacja książek przebiega z oporami i zwłaszcza e-booki literackie przyjmują się gorzej, niż drukowane. Autorzy chwalą przy tym rozwiązanie PoD, czyli druku na życzenie, z argumentem że koszty edycji pojedynczych i wieloegzemplarzowych są takie same. Otóż to ma się nijak do prawdy! Jak widać, nawet znawcy (i to powszechnie) nie mają pojęcia, jak funkcjonuje offset i jak wtedy edycje się bilansują. Natomiast jest w tekście uwaga, że biblioteki – w obecnych okolicznościach coraz bardziej hybrydalne – zaczynają też z większą angażować się w realizację programów ponadusługowych. Oby to była prawda.

Autorów nie cieszą opowieści o społeczeństwie informacyjnym, bo niby gdzie ono jest; zresztą nie mówi się o społeczeństwie jedzeniowym, chociaż wszyscy jedzą. To sformułowanie może być jednak uzasadnione w określonych kontekstach. Ekonomicznym: kiedy jakaś produkcja opiera się na informacji. Zawodowym – tam, gdzie nie pracuje się fizycznie. Oraz socjalno-kulturalnym: przy szerokiej sieci wymiany opinii. Natomiast nie powinno być bezprzymiotnikowe.

Przesłanki polityczne dla tego ostatniego wariantu pojęcia trzeba zresztą specjalnie wykreować. Tworząc stosowną infrastrukturę i redukując komunikacyjne oraz informacyjne wykluczenia. A także budując dobre prawo, które zapewni wolność słowa, ochroni własność intelektualną i spróbuje przeciwdziałać praktykom hakerskim.

Na hasło „wartość informacji” otwierają się wszystkie okna w mieście i każdy wykrzykuje coś innego. Zapewne dlatego autorzy – wspominając o informacyjnej wartości dodanej i ryzyku utraty/wycieku informacji – uchylają tylko łufcik, nakierowany na wartość fiskalną. Która też zawsze psuła krew i nadal psuje, kiedy próbuje się organizatorom bibliotek uświadomić ekonomiczne korzyści z ich finansowania.

Można bowiem ustalić koszty: wytworzenia + nośnika + dystrybucji. Ale jak wycenić wartość pożytku, czyli podbudowy wiedzy, innowacyjności i kreatywności? Autorzy wymyślili więc chytrze, że fiskalna wartość informacji to może być cena, jaką gotowi byłiby zapłacić za nią odbiorcy. Każdy indywidualnie, czyli rozmaicie, oraz w sumie razem. No to do roboty: zaczynamy pytać i sumować!

Jest też w książce odniesienie do modnego pojęcia Information Literacy (do alternatywy Digital Literacy nie mają autorzy przekonania), rozumianego jako orientacja w świecie informacji. Napisano, że współcześnie jest to konieczna umiejętność życiowa każdego i trudno z tym polemizować. W skład niezbędnych kompetencji zaliczono zaś: pojęcie o informacyjnym kosmosie, praktykę korzystania z informacji, użytkowanie różnych kanałów i systemów, krytyczne podejście i samodzielną ewaluację, indywidualny sposób wykorzystania, oraz umiejętność uczenia się.

W finale książki pojawia się prospektywne pytanie: co dalej? To jest bardzo dobre pytanie. Natomiast z odpowiedziami autorzy marudzą. Nie bez powodu.

Wskazują bowiem na nietrafności predykcji dotychczasowych, wynika już to z niedostatku faktów, bądź z niemożności powiązania detali w racjonalną całość. Oto Wilfred Lancaster, zapowiadając w 1970 r. społeczeństwo bezpapierowe, nie docenił siły ani możliwości druku, a z kolei w 1980 r.

Dennis Lewis ogłosił, że po 2000 r. nie będzie już pracowników informacji ani żadnej mediacji: jak jest, każdy widzi. Vannevar Bush ze swoim Memexem oraz Ted Nelson z Xanadu, mieli pomysły kreatywne, lecz prostej kontynuacji nie było. Nawet J. C. R. Licklider z oryginalnym projektem systemu transmisji informacji, tylko częściowo wpisał się w późniejszą rzeczywistość. Prognozować trzeba zatem ostrożnie i nie dalej, niż na 20 lat do przodu, bo całego mnóstwa różnych zmian i nowych okoliczności nie da się dzisiaj przewidzieć.

Bawden i Robinson są zdania, że balans piśmiennictwa oraz digitalności w komunikacji utrzyma się nadal, jakkolwiek digitalizacja będzie wzmożona. Trzeba też (jak piszą) założyć postępującą mobilność urzędów i zastępowanie umiejscowionych zasobów cyfrowych przez chmurę. Akurat wobec obu tych sugestii mam istotne wątpliwości. Natomiast trzeba zgodzić się z autorami, że nauki o informacji jako zespół dyscyplin, mają przed sobą przyszłość – ze względu na własne, autonomiczne obszary rozpoznania (które wszak nie znikną) oraz wieloaspektowe podejścia.

Katalogi na rozdrożu [*****]

Catalogue 2.0. The future of the library catalogue (2013).
Ed. by Sally Chambers. London: Facet Publishing, ss. 2012. ISBN
978-1-85604-716-6

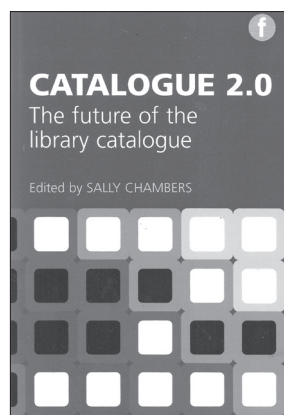
Nieco niższa ocena ogólna tej książki wynika z jej zbiorowego charakteru. Prawie nigdy tak nie jest, żeby tom wieloautorski utrzymał jednako wysoki poziom tekstów. Ale Sally Chambers z Gottingen (Niemcy), starannie redagując całość, stonowała amplitudę do minimum.

Publikacja traktuje o współczesnym katalogowaniu oraz (szerzej) indeksowaniu, które coraz bardziej odstają od praktyk dotychczasowych. Najślynniejszy spośród katalogerów, Michael Gorman, dostrzegając stosowne symptomy, nie wyrażał entuzjazmu. Ale rzeczywistość rozwija się po swojemu.

W jednym z najciekawszych tekstów w tej książce Till Kinstler (też z Gottingen) wyraża pogląd, że dotychczasowe katalogi biblioteczne nie nadążają za oczekiwaniami publiczności: są nieprzyjazne, niezbyt elastyczne i za mało informacyjne. Nie wyszły poza formułę Boole'a, podczas gdy wyszukiwarki sieciowe – tak. Stąd potrzeba katalogów nowej generacji. Jakkolwiek ten nowy model indeksowania, kojarzenia oraz prezentacji informacji, nie jest pozbawiony wad. Tworzone hierarchie zestawień, według częstotliwości występowania albo poziomu wykorzystania, bywają pozorne, a zatem mylące. Zresztą na razie przesłanki budowy powiadomień są bardzo różne i nie zawsze spójne, stąd liczne nieporozumienia. Potrzebne są zatem udoskonalenia, zmierzające ku klasyfikacjom polihierarchicznym, ale koniecznie czytelnym dla publiczności.

Że tak nie jest i nie było, tłumaczy Anna Christensen (z uniwersyteckiej biblioteki w Luneburgu – Niemcy) sugerując, że początkowo katalogi digitalne miały tylko charakter wewnętrzny, więc naśladowały kartkowe i dopiero zewnętrzne otwarcie ujawniło, jak bardzo odbiegają przyjaznością od wyszukiwarek w Sieci. A to wszak za sprawą Sieci użytkownicy oczekują indeksów i streszczeń w dobrym standardzie, ale koniecznie łatwych w obsłudze i właśnie przyjaznych. Natomiast, z daniem autorki, wcale nie nastawiają się na współudział w tagowaniu i nie oczekują bibliotecznych katalogów na platformach społecznych – chociaż akurat w tej kwestii widywałem już opinie odmienne.

Podobnie o rozdźwięku pomiędzy automatyzacją procesów wewnętrznych bibliotek a ich indeksacyjną ofertą zewnętrzną, pisze Marshall Breeding, niezależny konsultant z USA. Uważa, że nowa generacja katalogów wymaga odstąpienia od rozwiązań indywidualnych, na rzecz scalonego, wspólnego indeksowania i korzystania z wyszukiwarek (także komercyjnych, ale nie wiem czy to ma



sens), które wykraczają poza pojedyncze biblioteki – typu WorldCat lub Arena. Wymienia też inne, w ramach różnych krajów: Berluga (Niemcy), Ting (Dania), Unicat (Belgia) oraz Libris (Szwecja).

Z kolei Emmanuelle Bermes z Centrum Pompidou w Paryżu jest zdania, że era indeksów (katalogów) bibliotecznych i wyszukiwarek sieciowych dopiero się rozpoczęła. Na razie nie mają jeszcze w pełni webowego charakteru – aplikacje na Web Semantyczny są w powijakach – i bardzo różnią się od siebie, a korzysta z nich tylko ten, kto wie i potrafi. Trzeba więc dużo jeszcze ulepszyć.

Lukas Koster i Driek Heesackers z uniwersyteckiej biblioteki w Amsterdamie odnieśli się do aplikacji katalogów bibliotecznych na urządzenia mobilne, korzystając z doświadczeń swojej biblioteki. Ich opinie są umiarkowanie pozytywne, ale obaj uważają, że jeszcze za wcześnie na kompletną konkretyzację, jaki pożytek mogą mieć biblioteki z mobilnej infrastruktury. Także dlatego, że korzysta z niej tylko niewielka część bibliotecznej publiczności, a znów biblioteki – chociaż mogą tworzyć ewentualne aplikacje (dobrze, jeśli w skali międzybibliotecznej) – na samą Sieć transmisyjną nie mają żadnego wpływu. To jest niewiadoma. Generalnie więc, sporo jest w tym zakresie jeszcze do rozpoznania, a przy (ostrożnym) wdrażaniu potrzeba pomysłowości bibliotekarzy i dodatkowych pieniędzy na stosowne urządzenia. W rozsądnych wprowadzić ilościach, ale jakieś muszą być i koszty mogą być znaczne.

Urządzenia mobilne są niewielkie, a będą jeszcze mniejsze – żeby łatwo dały się nosić – zatem i ekrany muszą być małe, radykalnie redukując rozmiary transmitowanych komunikatów. To znaczy, że wymagają dostosowania, specjalnych aplikacji, bo proste przetworzenia z dużych ekranów są na ogół kiepskie, a często całkowicie niewykonalne. Czy zatem warto to wszystko zachodu?

Otóż nie przesądzając o przyszłości, trudno ignorować fakt, że jednak domaga się tego część publiczności bibliotek, głównie akademickich. Co więcej: oczekują w tym trybie informacji w skali międzybibliotecznej – bo liczy się dla nich dostęp, dostawa, a nie samo umiejscowienie materiału w kolekcji – zaś jeżeli to jest możliwe, to w dodatku w zespoleniu ze zdalnym dostarczeniem wybranych materiałów. Taka jest opinia autorów tego tekstu, ale odnoszę wrażenie, że trochę pochopna, nie całkiem osadzona w rzeczywistości.

Wszyscy bowiem, którzy tego próbowali, zgadzają się co do jednego: że zdalnie przesyłane skany materiałów na mobilne czytniki, nie spełniają koniecznych standardów czytelności. Dlatego na razie lepiej zgodzić się jedynie z częścią autorskich wypowiedzi – że mianowicie: publiczność, na swoich mobilnych urządzeniach, oczekuje od bibliotek przede wszystkim informacji praktycznych, użytkowych, oraz identyfikacji poszukiwanych materiałów.

Do bibliotecznych katalogów nowej generacji bardzo szczegółowo odniosła się Carolyn Calhoun z uniwersyteckiej biblioteki w Pittsburgu (USA), czyszcząc sobie pole refleksji w ten sposób, że sieciowe powiązania bibliotek, szczególnie akademickich, uznała za bezdyskusyjnie konieczny warunek ich dalszego funkcjonowania. A to dlatego, że współcześnie żadna biblioteka nie jest w stanie w pojedynkę, indywidualnie, zapewnić stosownego wsparcia dla edukacji. To zresztą widać: dlatego wykładowcy akademicy częściej odsyłają studentów do Internetu, niż do jednostkowych katalogów bibliotek. A z tego bierze się wniosek, że obecnie katalogi **muszą** mieć charakter międzybiblioteczny, czyli odnosić się do szerokich (kiedyś – wszystkich?) zasobów bibliotecznych i to zarówno digitalnych, jak też piśmienniczych.

W konsekwencji to jest także wstęp do tworzenia międzybibliotecznych wspólnot zasobowych, co jeszcze w 1996 r. postulował Roy Atkinson, ale do szerokiego urzeczywistnienia na razie nie doszło. Nawet powstanie katalogów sieciowych, w szerokim wymiarze, też na razie pozostaje w fazie początkowej, bo utworzone systemy nie są jeszcze w pełni gotowe do tego, żeby każda uczestnicząca biblioteka mogła nie tylko z katalogów korzystać, ale również wprowadzać tam informacje własne.

Na przyszłość zaś trzeba założyć, że indywidualne indeksowanie w bibliotekach obejmie wyłącznie materiały archiwalne oraz niszowe. Jak z tego widać, w tej chwili dokonują się w sferze indeksowania, bibliografii oraz katalogowania, tym samym zaś w całym bibliotekarstwie i w obiegu informacji, zmiany równie fundamentalne, jak ćwierć wieku temu.

Ale to rzeczywiście dopiero początek. Trzeba bowiem pilnie wypracować ulepszone reguły rozległego indeksowania, żeby dostosować się do oczekiwań publiczności, która chce klarownych powiadomień o treści materiałów oraz wskazań, jak je pozyskiwać. Na razie w takiej intencji zmieniają się deskrypcje czasopism naukowych, na rzecz sygnalizowania treści poszczególnych tekstów, natomiast charakterystyki książek trochę opierają się innowacjom. Ciekawe, że to samo stwierdzili Bawden i Robinson. Zresztą w gruncie rzeczy nie ma klarownej, jednolitej koncepcji katalogowania na przyszłość i nawet wypracowane reguły RDA (Resource Description and Access) są przedmiotem licznych kontrowersji.

Do tego wszystkiego autorka dorzuca jeszcze kilka ważnych pytań, na które każdy musi odpowiedzieć sobie sam. I tu także dostrzegam podobieństwo do książki poprzedniej.

Zatem – czy informacji katalogowej nie da się uprościć i czy koniecznie trzeba odtwarzać model opisu z systemu MARC? Jak poprawić międzybiblioteczną współpracę w katalogowaniu, a zarazem znacząco obniżyć koszty? Oraz: czy chmura, zamiast repozytoriów własnych, jest dla bibliotek rozwiązaniem do przyjęcia? Argumenty, spotykane w specjalistycznym piśmiennictwie, częściej znoszą się wzajemnie niż uzupełniają, więc nie służą wyjaśnieniom.

Niektóre opinie współautorów tomu potwierdza w swoim tekście Lorcan Dempsey, wiceprezes OCLC, natomiast odróżnia się sposobem eksplikacji. Za dużo tam ogólników i gołosłowności, natomiast konkretów wyraźnie brakuje. Od razu widać, że to jest wypowiedź kogoś odległego od praktyki, a to siłą argumentów znacznie osłabia.

Tak czy inaczej, Dempsey też namawia do międzybibliotecznej współpracy przy tworzeniu katalogów, co jednak wymaga pierwiej standardowego ujednoczenia reguł. Oraz wzbogacenia repertuaru serwowanych informacji, bo samo tylko powiadamianie o zawartości kolekcji, publiczności nie satysfakcjonuje. Odnosząc się zaś do dyskusji, kto i jak ma generować metadane, lansuje koncepcję miksowania tego, co przedstawią specjaliści i użytkownicy, oraz co da się wytworzyć automatycznie. Ale nie precyzuje, jak to praktycznie zrealizować.

Przewodnią nić tematyczną tej ciekawej książki wyznacza przeświadczenie, że w katalogowaniu – jednym z elementarnych procesów bibliotecznych – dokonuje się właśnie zasadniczy przełom: przejście do następnej generacji. Co ma również wpływ na całą ofertę i profil funkcjonowania bibliotek.

Nawet jeżeli nie wszystko udało się już rozstrzygnąć, zmiany muszą być sukcesywnie wdrażane. Wymaga to zarówno dalszych innowacji koncepcyjnych, jak też determinacji w praktyce i rzeczywistej współpracy między bibliotekami. A o to – szczególnie w warunkach polskich – jest trudniej niż trudno.

Nadesłano: 18.01.2014.